

„Robinetta”.

Lord Cecil Dougherty jedno tylko nosił w duszy umiłowanie, jedną tylko odznaczał się namiętnością: do arcydzieł pendzla, a zwłaszcza do obrazów pewnej epoki, lat przejściowych od 18 do 19 stulecia, za panowania Jerzego IV. Nosił w sercu kult głęboki dla portretów tych czasów: Reynolds'a, Gainsborough, Lawernee, Romey'a, Raburn'a i Hoppner'a.

Zwiedził świat cały dla zapoznania się z ich dziełami. Poza angielskimi muzeami i krajowymi zbiorami prywatnymi znał dokładnie galerje obrazów w Florencji, Wenecji, Petersburgu i w Nowym Świecie.

Będąc człowiekiem bogatym, mógł nabyć na własność kilka dzieł ulubionych mistrzów i przyozdobić nimi dom swój w Londynie oraz zamek rodzinny, położony w Sussex. Poświęcał czas wolny studjom sztuki tych malarzy, ich wzorom, w szczególności: kobiecym.

Chyba nikt na świecie nie znał tylu szczytów, co lord Daugherty, o lady Hamilton, Mrs. Robinson, Mrs. Siddons i jej córkach, Georginji Lennox, Nelly O'Brien i Avars Breaddy, markizie de Camden i Lawinji Irabinie Spencer.

Wiedział o nich wszystko: ich gusty i upodobania; znał ich dostawców, ich domy, przyjaciół i kochanków. Zbierał po nich pamiętki i listy, które mu zbierał szuflady. Był szczęśliwy, ponieważ kochał się jednocześnie przynajmniej w stu kobietach, bez obawy o czyjeś współzawodnictwo. — Miłość ta zapełniała mu życie i utrzymywała go w stanie rozkosznego i melancholijnego rozmarzenia. Odczuwał jedynie żal z powodu, że zapóźno przyszedł na świat i nie mógł cieszyć się przyjaźnią tych zgasłych już piękności i ludzi talentu im współczesnych, jak np. Sheridana, Boswella i Williama Backforda.

Lord Cecil Dougherty był człowiekiem szczęśliwym. Wszyscy manjacy są szczęśliwi, o ile bez przeszkód oddawać się mogą swej manji. Los jednak zapragnął zbyt hojnie obdarzyć lorda i to popsuło wszystko.

Pośród obrazów Reynolds'a jeden cieszył się specjalnymi względami lorda Cecila: to Robinetta w National Gallery. Często tam odwiedzał tę postać jeszcze dziecięcą, dorastającego dziewczęcia o dziwacznej, trójkątnej twarzy, oczach głęboko osadzonych pod gęstymi brwiami, zadartym nosku, ustach o podniesionych kąciakach — postać młodziego chochlika, jedną z tych twarzy napoły pierwotnych, napoły zwierzęcych istot bajecznych, które wyobraźnia ludowa zaludniała wrzosowiska, leśne ustronia i brzegi strumyków.

Zdarzyło się oto, że pewnego dnia, gdy lord znajdował się w sklepie antykwaryjskim dla kupna sztychu, z mroku ciemnego pomie-

szczenia antykwarni zbliżyła się do niego Robinetta we własnej osobie.

Wszyscy znajomi lorda Dougherty zgadzili się jednomyślnie, że trudno było o podobieństwo bardziej zdumiewające, od tego, które istniało pomiędzy Robinettą Joshua Reynolds'a, a Robinettą, ekspedującą antyki i przyjmującą pieniądze od klientów w słynnej antykwarni londyńskiej.

Decyzja lorda Cecila zapadła wkrótce. Nie mógł ominąć sposobności pozyskania podobnego skarbu. Był przekonany, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Po kilku spotkaniach z miss Julją Mandesley oświadczył się jej.

Po przewyciężeniu chwilowej radości i chwilowego zdumienia, lady Julja Dougherty odrazu znalazła się na wysokości swego nowego zadania. Była osobą sprytną, niegłupą, lecz pospolitą, co uszło uwagi jej męża. Skądże, zresztą, mógł to zauważyć?

Nie zajmował go ani charakter żony, ani umysł jej, a jedynie jej powierzchowność, w powierzchowności tej zaś coś, co nie stanowiło jej istotnej własności: widmo czy też cień wspomnienia.

Kochał ją pomimo to dziwnym uczuciem manjaka i marzyciela. Odnosiło się wrażenie, że realna lady Julja nie istniała dla niego. Widział w niej tylko Robinettę.

Sprowadził kostiumjera teatralnego, u którego zamawiał coraz to nowe stroje dla żony. Żądał, by nakładała kolejno szaty Auny Bingham i lady Sinclair. Zmieniał musiała, jak manekin, materje, kapelusze, klejnoty tych kobiet, umarłych od lat pięćdziesięciu. W otoczeniu z młodej epoki wciąż obracać się musiała przed zwierciadłem, pod czas gdy mąż jej przemawiał do niej w żwawych zwrotach miłosnej wymowy. I mówił do niej, jak o bliskich znajomych, o wszystkich tych zmarłych ludziach i kobietach, aż zdało się lady Julji, że sama jest widmem, na omentarzysku wspomnień, wśród innych świetnych lecz przestarzałych widm.

Ogarnął ją smutek nieskończony. Cóż obchodzić ją mógł w tych warunkach majątek lorda Cecila, tytuły, niezależność — wszystko, co ośniło ją, gdy prosił o jej rękę?

Żalowała ciasnego sklepu antykwaryjskiego, codziennej pracy i subiekta z sąsiedniej księgarni, który darzył ją swymi względami, a którego porzuciła bez skrępowania. Wolała to wszystko od otaczającego ją księżęcego zbytku, który okupić musiała najdroższą ceną: niewolą ducha i ciała.

Nigdy nie kochała lorda Cecila, a jego dziwaczne zachowanie, zarazem nierówne i systematyczne, przerażało ją nawet. Zapalała do niego nienawiścią. Pragnęła być istotą żywą wobec drugiej żywej istoty, a nie przedmiotem z witryny, bibelotem bez życia w rękach wizjonera.

Pewnego dnia wyrwała się z tej niewoli: za pretekst posłużył jej pierwszy napotka-

ny kochanek. W dodatku ku rozpaczce lorda Dougherty wybrała go ze środowiska, z którego pochodziła.

Rozpacz jego była ogromna. Czuł się, jak kochanek, któremu wydarło kochankę, a zarazem jak dziecko, któremu potrzaskano zabawkę. Byłby kochał do śmierci w Julji tysiąc i jedną kochankę swego wyobrażonego haremu.

Ucieczka Julji wytrąciła go z równowagi. Przestał wychodzić, błądził po opustoszałym mieszkaniu, otwierał szafy, kolejno wyjmował suknie, a następnie ukrywał się w jakim kąciaku, by się wyplakać lub pić gin.

Rozwodu zażądała Julja. Lord Cecil nie zajmował się tą sprawą, pozostawiając ją sądom. Szczegóły nie obchodziły go wcale. Robinetta znikła — to było jedynie ważne.

Przy podobnym trybie życia stał się nerwowo, niespokojny, hipochondryczny. Lekarz w obawie, by nie rozchorował się poważnie, zalecił mu podróże. Lord Cecil zgodził się na to, obojętny na wszystko. — Udał się na kontynent, włóczył się tam i owdzie...

Pewnego wieczora znalazł się w Paryżu, którego nie nienawdził dlatego, że muzeum w Lawrze mieścił bardzo niewiele obrazów angielskich z 18 stulecia.

Było to cztery lata po ucieczce Julji. Z nudów lord Cecil zaszedł do „cafe-concert”. Przyglądał się widowisku z obojętnością i już miał wyjść, gdy na scenie ukazała się tancerka i pół tuzina girls'ów, ubranych, jak ona, w mundurach groomów hotelowych — błękitnych obcisłych spodniach.

W pierwszej tancerce lord Dougherty poznał swoją byłą żonę, czyli poznał Robinettę. Tak jest, uroczą istotą, która wydawała się tworem Reynolds'a, która ucieleśniała mu wszystkie arcydzieła Gainsborough i Lawrence'a, wykonywała w groteskowym kostjumie groteskowy taniec na jarmarcznej scenie!

Dławiąc się z oburzenia i gniewu, nieszczęsny lord Cecil bardziej odczuwał zbezczeszczenie świętości, którą umiłował od wyrządzonej mu krzywdy i hańby; Robinetta znieważała Robinettę!

Powstał, oszalały. Krzyczał, groził zdumionej tancerce, która, gdy poznała lorda, znieruchomiała, trzęsąc się na całym ciele.

— Trzymajcie ją! — krzyczał. — Trzymajcie! To złodziejka! Czyż nie widziacie wszystkiego, co ukradła? Niema prawa znajdować się tutaj! Niech zginie! Niech zginie! Ukradła twarz swoją innej kobiecie! Wykradła jej ciało!.. Niech zwróci to wszystko!

Interwencja policji okazała się konieczna. Z trudnością opamowano lorda Cecila Dougherty. Odwieziono go do Anglii w kaftanie bezpieczeństwa. Nigdy nie odzyskał rozumu, ale — może — odzyskał Robinettę.

Thum. L. M.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI.

Niedziela, 19 października 1930 roku.

Nr. 43.

Zamknięcie sezonu kolarskiego.



Sport kolarski posiada w Łodzi licznych miłośników, zrzeszonych w wielu stowarzyszeniach kolarskich, które okres lata poświęcają krzewieniu zamiłowania do kolarstwa. Biegi i wyścigi na torach organizowane w Łodzi cieszą się zwykle poważną frekwencją uczestników i widzów. Kolarstwo łódzkie pozostaje w ścisłym kontakcie z kolarstwem krajowym. Po okresie wysiłków letnich nastąpiło w tygodniu ubiegłym uroczyste zamknięcie tegorocznego sezonu kolarskiego przy udziale wszystkich stowarzyszeń kolarskich, w obecności delegatów kolarskiego świata Warszawy. Uroczystość odbyła się na terenie Łagiewnik. Na zdjęciu powyższym widzimy kolarzy łódzkich na tle klasztoru w Łagiewnikach.

Fot. A. Meyer, tel.

CENY OGŁOSZEŃ: za wiersz milimetry 1-linowy (strona 3 łamy) — 1 złoty. Zastrzeżenie miejsca 25 proc. drożej. Ogłoszenia firm zagranicznych 100 proc. drożej. Przy ogłoszeniach kliszowych koszty wykonania kliszy ponosi inserent. Na pierwszej stronie ogłoszeń nie przyjmuje się. Rozpoczęty łam liczy się za cały. Administracja zastrzega sobie prawo kwalifikowania ogłoszeń.

Odbito w drukarni „Kurjera Łódzkiego”.

TEATRALJA.

Premjery warszawskie. — Z teatralnej prowincji.

Pierwszą już premierą bieżącego sezonu nowa dyrekcja teatru „Ateneum“ dowiodła, że nie tylko bardzo poważnie pojmuje swe zadania kierowniczo - artystyczne, ale również, co bodaj najważniejsze, że tym zadaniom w zupełności sprostać potrafi. Nieśmiertelną „Zemstę“ Fredry wystawiono na widowisku inauguracyjnym nie w charakterze hołdu, złożonego polskiemu Moljerowi, lecz jako rzecz współczesną, aktualną, jako efektowną, „przebojową“ niemal komedię. A trzeba przyznać, że ta „sensacyjna“ prawdziwie próba powiodła się w zupełności, zarówno pod względem reżyserskim, jak aktorskim. Oto co pisze in. in. o tem niezwykłym przedstawieniu „Zemsty“ jeden z najwybitniejszych krytyków stołecznych Kamil Irzykowski: Pp. Jaracz i Chmielewski widocznie lata całe wżywali się w dynamikę komedii fredrowskiej, zbadali wszelkie jej możliwości, nie pozostawiając żadnej niewykorzystanej. Dzięki temu takie dobre tempo, taka świeżość, takie gęste stopniowanie w akcji, prawie jakby to była sztuka sensacyjna. Dokoła obsadę „Zemsty“, która przyciągać będzie z pewnością do „Ateneum“ tłumy nie tylko „popularnej“ publiczności, stanowią: pp. Jaracz (Rejent) Chmielewski (Raptusiewicz), Buczyńska (Podstolina), Drabikówna (Klara), Łuszczewski (Papkin).

W Teatrze Małym — po sukcesach „Panna Lamberthiera“ — wystawiono głośną zagranicą nową komedię węgierskiego pisarza Wl. Fodora — „Wieczne pióro“. Nie jest to, jak się okazało, wcale arcytwór sztuki scenicznej, choć reklamowano go z wielu stron dość krzykliwie. Komedię „w miarę“ dowcipną, i to dowcipem nie najprzedniejszego gatunku, — opartą na motywie dość oryginalnym — zamięsanej niewierności małżeńskiej, — zamazaną i niewyraźną w swych końcowych pointach. Jak słusznie wyraził się jeden z recenzentów, „Wieczne pióro“ „równie dobrze mogłoby uchodzić za sztukę kłopsko propagującą wierność mał-

żeńską, jak i umyślną, lecz niedołązną parodię takiej propagandy“.

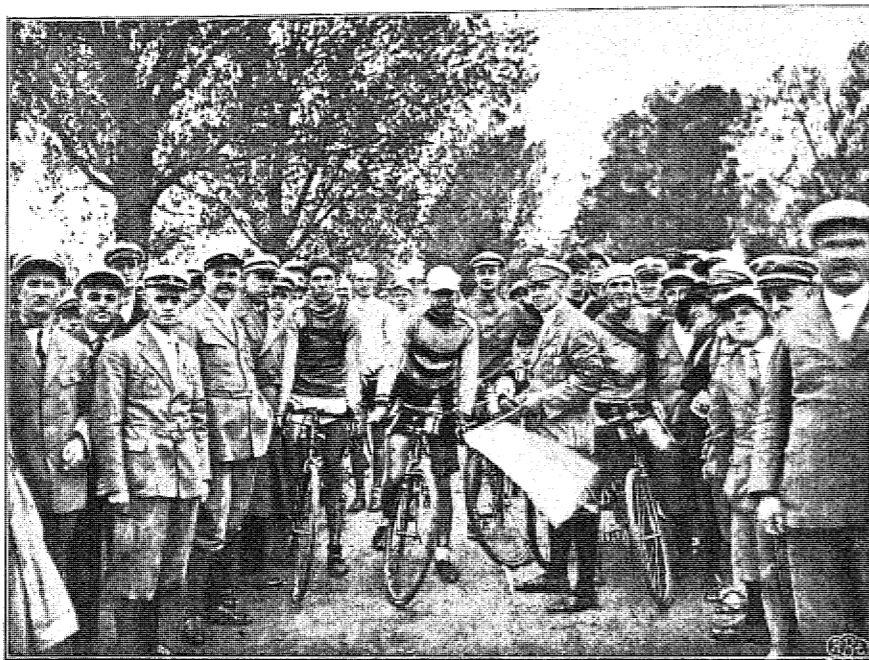
Chodzi o poprostu o to, że pewien adwokat posiada piękną żonę Mery, którą zaczyna podejrzewać o zdradę małżeńską. Podejrzenia te o tyle wydają się słuszne, że p. adwokat kupił w tajemnicy przed mężem kosztowne „wieczne pióro“, zaś przyjaciel domu mecenasostwa, niejaki p. Urban chwali się właśnie przed adwokatem otrzymaniem w prezencie „wiecznego pióra“. — Adwokat każe śledzić romansującą rzekomo parę prywatnemu detektywowi, Punschowi, którego „dochodzenia“ kończą się zdezas-kowaniem jego samego. Zresztą cały ten romanś panii Mery okazuje się fikcją, prezent z „wiecznego pióra“, uczyniony Urbanowi, znajduje najbardziej legalne i uspokajające mężowskie sumienie — tłumaczenie,

p. Urban otrzymuje ostateczną odprawę i wierność małżeńską — zresztą w niezem przez p. Mery nie naruszona — triumfuje, „merytorycznie i formalnie“.

W tej węgierskiej bajeczce, miejscami nawet dość komicznej, starają się popisać pp. Miła Kamińska, Jakubowska, Grabowski Ziembński i inni, co — ze względu na słabe walory samej komedii — jest rzeczą trudną i niewdzięczną.

Poznań ma miłe urozmaicenie swych wieczorów teatralnych, dzięki gościnnym występom Józefa Węgrzyna w Teatrze Nowym. Występy te znakomity amant dramatyczny naszej sceny rozpoczęły z ogromnym powodzeniem w niegranej dotąd w Polsce stylowej komedji Azertisa p. t. „Casanova“.

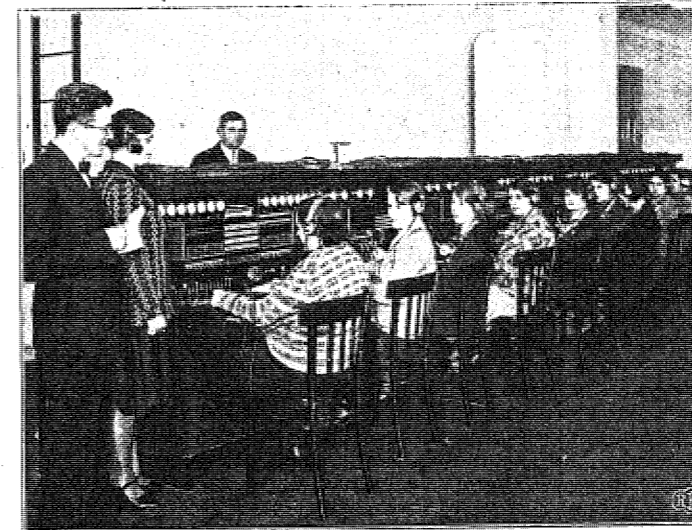
Delta.



W dniu zamknięcia sezonu kolarskiego w Łodzi odbył się ostatni w roku bieżącym wielki bieg na trasie Krzywie — Łowicz, na przestrzeni 100 kilometrów. Powyżej widzimy uczestników i zwycięzców biegu.



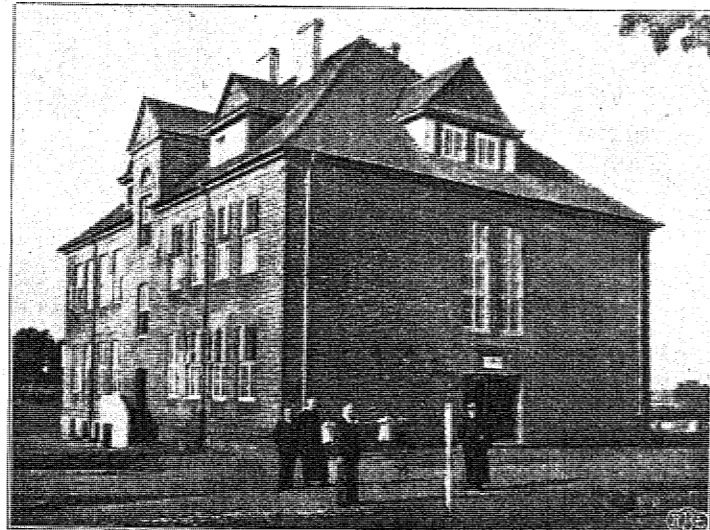
Staraniem Związku Legionistów w Łodzi odbył się w sali Filharmonji poranek artystyczny p. n. „Legjony w pieśni“. Na zdjęciach powyższych widzimy dwa barwne fragmenty poranku z organizatorami i wykonawcami programu na czele.



Nowa stacja zamiejscowych połączeń telefonicznych uruchomiona w związku z otwarcie kablowej linii telefonicznej Łódź—Warszawa.



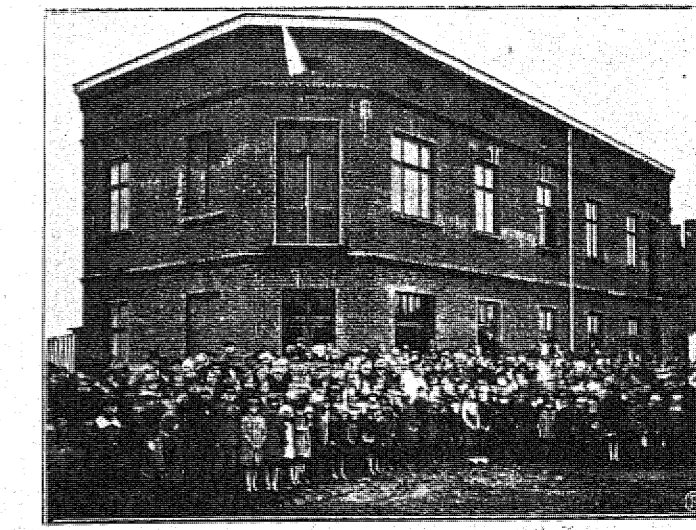
Odbył się w Łodzi wojewódzki zjazd organistów, który obradował w siedzibie Seminarjum Duchownego. Na zdjęciu uczestnicy zjazdu z przedstawicielami duchowieństwa na czele.



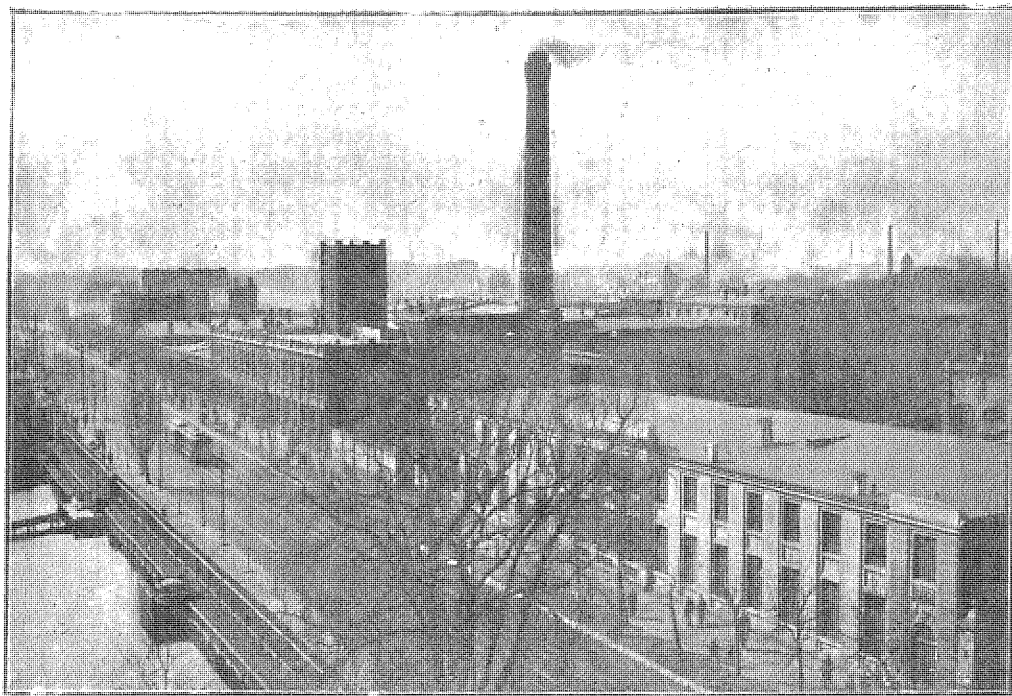
Fragmety z aktu poświęcenia nowowzniesionych w kolonji w Karolewice domków-willii pp. Janostwa Pniiewskich, dyr. firmy „A. Tahn i S-ka“ w Łodzi oraz willi p. sędziego Stanisława Pniiewskiego. Poświęcenia dokonał ks. prałat ofiarny dr. Bączek w obecności prezesa Sądu Okręgowego p. St. Bełżyńskiego i zaproszonych gości.



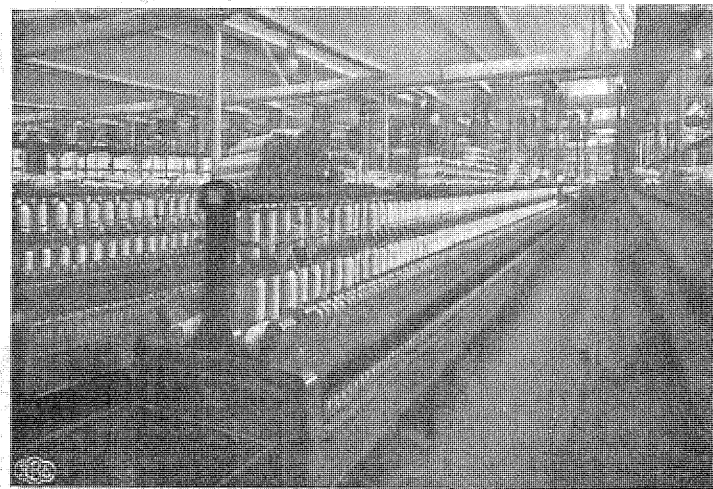
Przy organizacji P.P.S. dawnej frakcji rewolucyjnej zorganizowana została orkiestra symfoniczna, którą widzimy powyżej z przywódcami organizacji na czele.



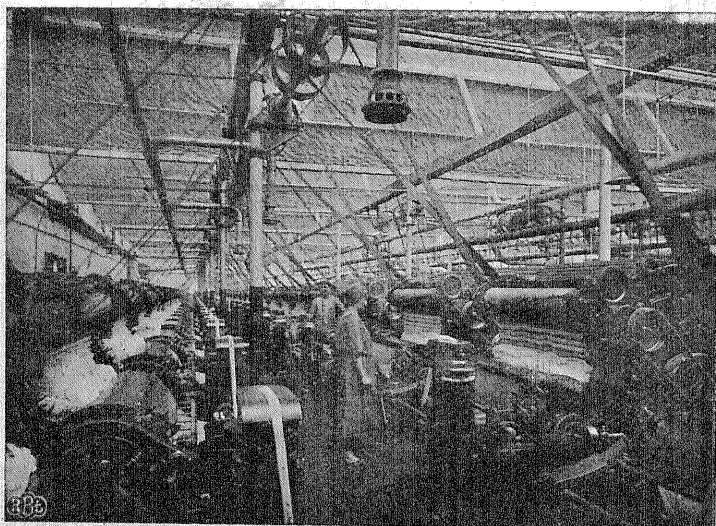
Przy ul. Tuszyńskiej w Łodzi wznieiony został nowy gmach szkoły powszechnej, którego poświęcenia dokonał ks. prałat Kąkolewski. Budynek szkoły widzimy powyżej.



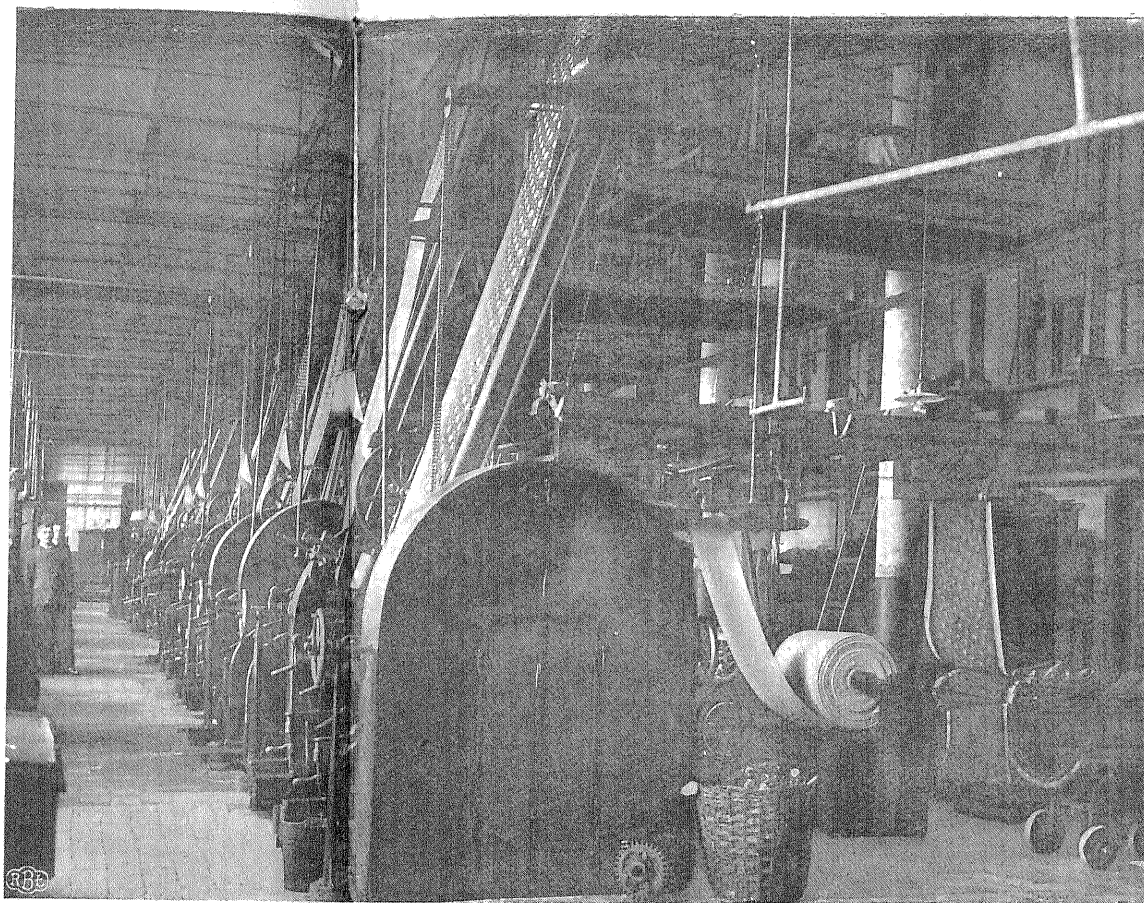
Spowita w rudawe blaski jesiennego słońca, otulona rozpyloną mgławicą snujących się dymów. Łódź, stolica pracy polskiej, pulsuje rozgwarem życia, huczy pędziami warsztatów i porykiem syren zwiastuje światu swą żywotność, a falangą zmęczonych robotników, opuszczających wielkie zakłady przemysłu, świadczy o rozmachu swej rzetelnej i produktywnej pracy. Powyżej fragment fabrycznej Łodzi.



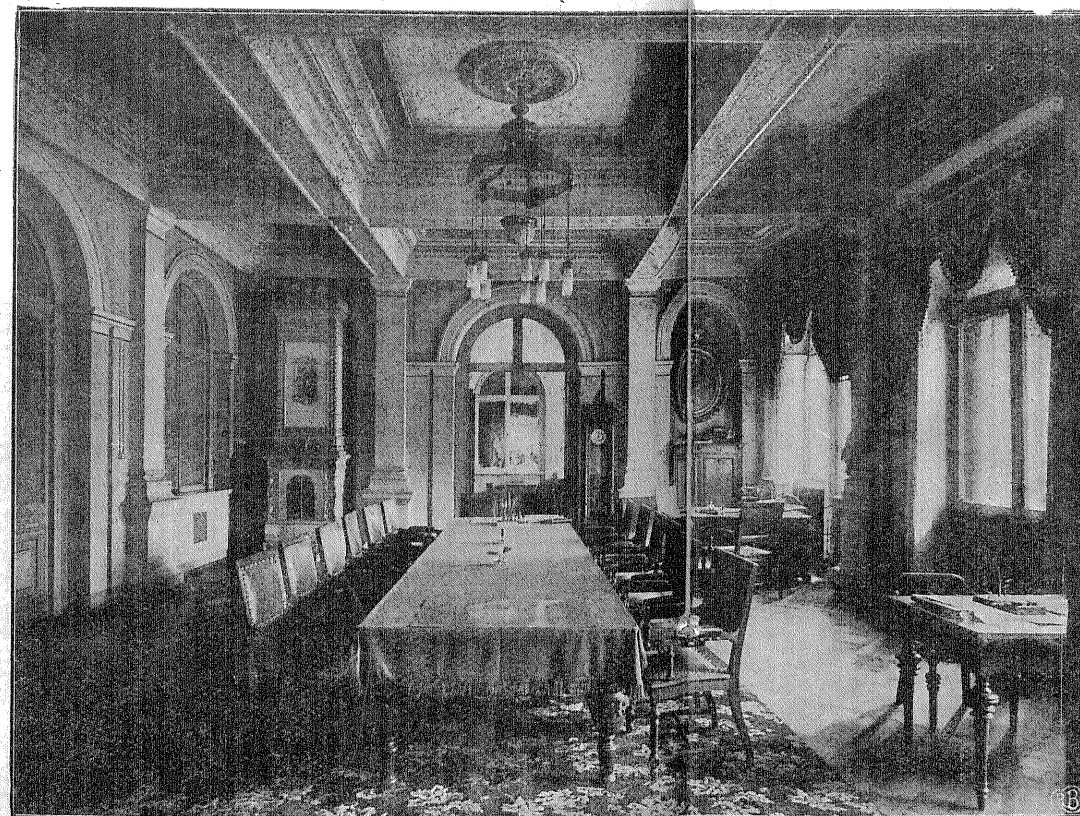
Stukiem warsztatów tkackich i przedziałniczych, zgrzytem śrub i tłoków a poświśtem rozkołysanych kół płynie Łódź na wartkiej fali życia gospodarczego Polski. Na zdjęciu warsztaty wielkich zakładów przemysłu.



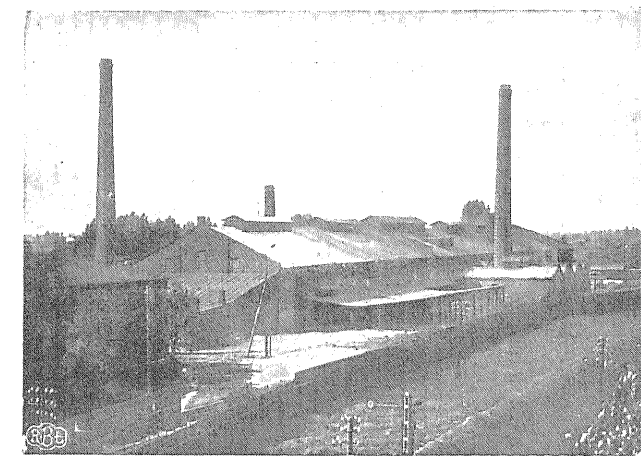
W olbrzymich halach fabrycznych u podnóża stalowych gigantów rozkwita dorobek Łodzi. Widzimy to na zdjęciu.



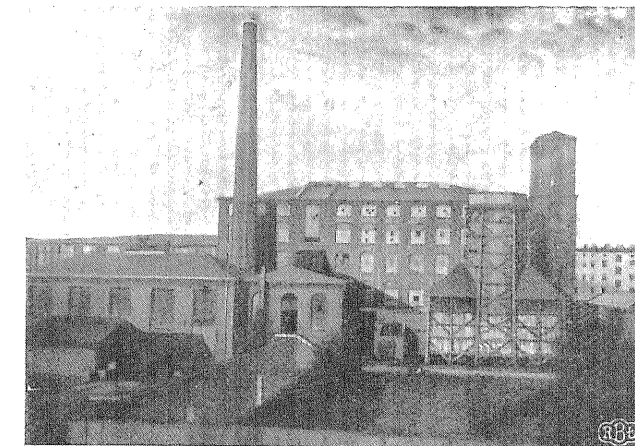
Przemysł polski Łodzi, nie ustępując w niczym wielkim ośrodkom przemysłu zagranicznego, niejednokrotnie przewyższa je swą techniką nowoczesną. Olbrzymy stalowe, poruszane pędziami i prowadzone wprawą rąk człowieka, wyrzucają z wnętrza swego twory prawdziwego arcyzmu, którym szczyci się Łódź wśród wszystkich ludów świata. Oto jak wygląda hala maszyn drnarskich w przemysłowych zakładach Łodzi.



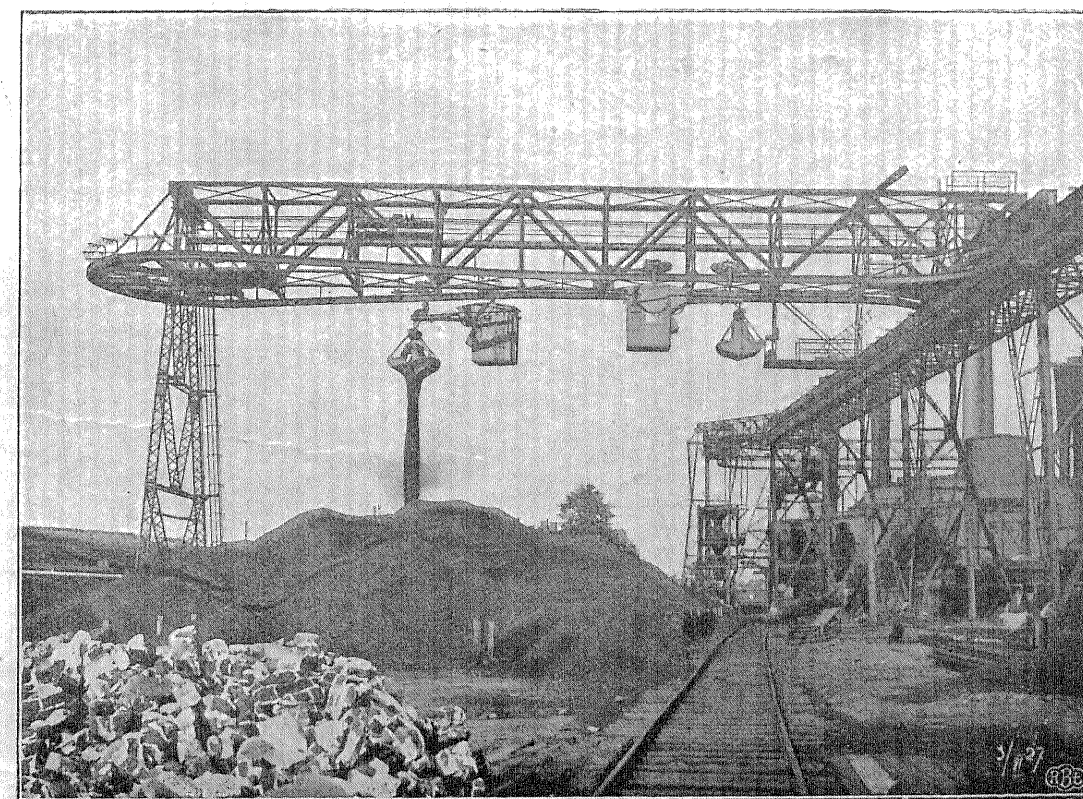
A ponad wszystkim szybuje twórcza myśl człowieka pracy. W rozległych i obszernych salach gromadzą się ci, w dłoni których spoczywają żywotne interesy szerokich mas mieszkańców. Tu powstają projekty i tutaj nadaje się im bieg. Zdjęcie nasze przedstawia salę posiedzeń Towarzystwa Kredytowego m. Łodzi.



Niemniej poza Łodzią uprzemysłowiony jest okrug łódzki i teren województwa. Na zdjęciu powyższym widzimy zakłady hut szklanych w Piotrkowie.



W okresie słabych koniunktur milkną syreny fabryczne i zamiera rozgwar życia na terenach fabryk małych.



Nie znają wypoczynku dni i nocy wielkie dźwigi węglowni łódzkiej. Przesuwają się wagoniki ładowne, wioząc miał węglowy do olbrzymich pieców, dzięki którym miasto lśni miliardem rozlewnych blasków lamp elektrycznych.



Pikantna Mary Astor z niezwykłym wdziękiem odtwarza tytułową rolę w filmie „Dziewczyna z piekła”.



Norma Shearer, sugtelna gwiazda srebrnego ekranu, jest najlepiej ubraną kobietą Hollywoodu.



Sally Phopp, bohaterka dwuaktówek „Foxy”.



Reginald Denny, jeden z najsympatyczniejszych filmowych aktorów komedjowych.

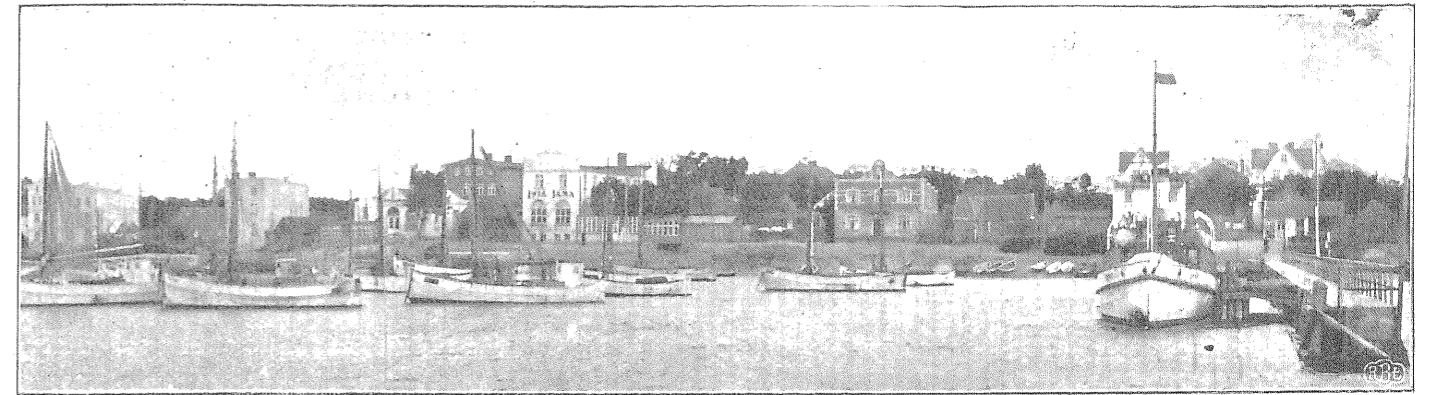


Conrad Nagel podbił serca łodzianek śliczną dziewczynką w „Rewji Hollywoodu”.

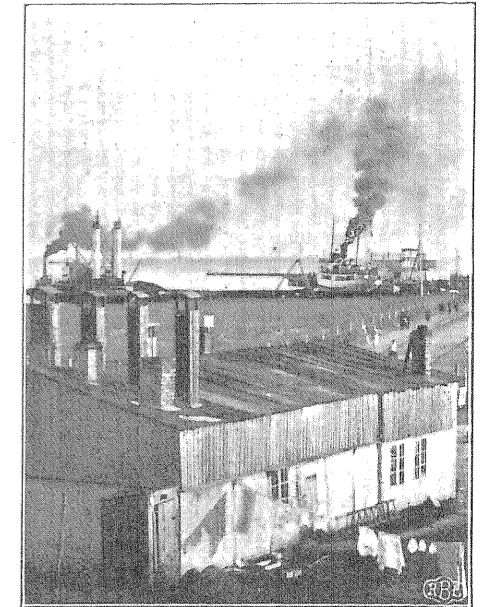
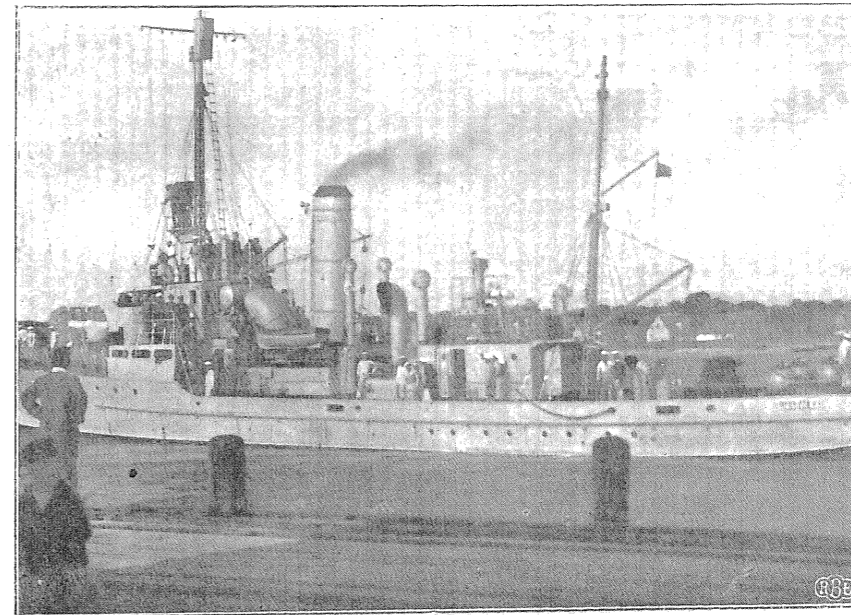


Nils Asther, bożyszcze amatorów stu procentowych mężczyzn, gra obok Grety Garbo w filmie „Anie Chryste”.

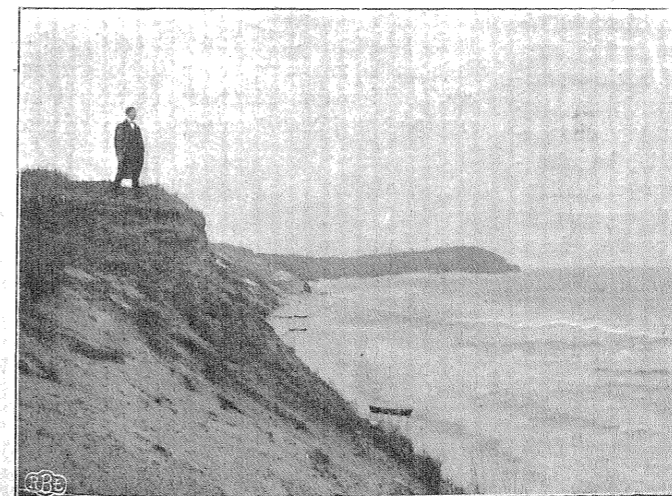
Pod polską banderą.



Sinemi szlakami mórz i oceanów płynie pod banderą bieli i karmazynu dobre imię Polski, głosząc światu swój zwycięski pochód pracy i wysiłku narodowego. Pod polską banderą handlowa wędrują morzami produkty naszych dłoni i twory naszych myśli w szeroki i rozległy świat zaoceaniczny. Wielką przystanią, bastionem drobku narodowego, zdrowym obliczem Polski jest nasz jedyny lecz potężny i w potęgę wzrastający port polski w Gdyni, którego skrawek miniatrowy widzimy powyżej.



Port w Gdyni jest Mekką handlu zamorskiego. Ściaga on z całego świata wielkie parowce i okręty kupieckie, wśród których uwijają się żwawo statki, łodzie i barki, tworząc malowniczy obraz całości i nadając ton życiu portowemu Polski. Na zdjęciu powyższym widzimy jeden z mniejszych okrętów polskich „Jaskółka” z jego obsługą oraz fragment z Jastarni z ogólnym rzutem oka na port w Gdyni i bezkres polskiego morza.



A poza swą realnością port w Gdyni i rozległy pas morza polskiego stanowią uroczą wizję potęgi gospodarczej Polski. Na wybrzeżu i w łonie jego krystalizują się prawdziwe skarby i bogactwa. Na straży zaś tej ostoi życia naszego czuwa duch całego narodu. Powyżej widzimy dwa piękne fragmenty z wybrzeża morza.

Strach nocny.

Pisała do mnie nieznajoma kobieta z zapytaniem:

„Czy postąpiłam słusznie?“

Jaką dać jej odpowiedź? Oto jej historia.

Stało się to zeszłego tygodnia, z wieczora, około godziny dziesiątej, w wielkiej farmie, zamienionej na dom mieszkalny, ongi obwarowanej, — farmie, jakich dziś spotyka się jeszcze bardzo wiele w górach Jury, niemal w każdej dolinie, gdyż to pasmo gór w czasie wojen religijnych było widownią licznych walk i bitew. Pani X., i jej dwunastoletnia córka — jedynaczka — spędzały tutaj lato. Dziewczynka, bardzo ładna, a nawet czarująca, jak pisała mi jej matka, była bardzo wrażliwa i wzięta i z powodu śmierci ojca swego przed kilku laty doznała silnego wstrząsu nerwowego, po którym pozostała jej jeszcze większa wrażliwość. Nadmiar wyobraźni powstały — może — jako następstwo doznanego bólu.

„Ubóstwiam ją“ — pisze do mnie pani X. — „Prócz niej nie mam nikogo na świecie. Żyje tylko dla niej i podtrzymują mnie jedynie wspomnienia minionego szczęścia“.

Małżonek tej kobiety która wydaje mi się bardzo inteligentna, był profesorem o rozgłosnym znaczeniu, znanym erudyta, i tylko dzięki pewnym względom politycznym dał się porwać ideom negacji antyklerykalnego sekciarstwa. Tak przynajmniej wydawał mi się za życia. Z listu, który mam przed oczyma, sądzić mogę, że był bardziej filozoficznie nastrojony, szczerzy i strapiony tem, że wciągnął młodą swoją małżonkę (był o piętnaście lat starszy od niej) w tragedję swego zwątpienia. W godzinie swej ostatecznej, kierowany dumą, którą często spotykałem u ludzi jego pokolenia, uparł się, utrzymując, że w nic nie wierzy i zmarł z oschłym sercem, bezsilny wobec nicości. Po zostawieniu żonie swoją bez pomocy. Mami na myśl pomoc moralną, gdyż pani X. zaznaczała odrazu na wstępie swego listu, że żadne kwestje pieniężne nie wpływają na jej wielkie obawy.

Tej nocy zatem, gdy w szyby bił nieskończony deszcz tegorocznego ponurego lata, dziewczynka już od godziny leżała w łóżku i podczas, gdy matka przypuszczała, że śpi spokojnie, przeżywała tragedję prosta, lecz tem bardziej przejmującą.

Pokój Simony znajdował się na pierwszym piętrze, jak i sypialnia jej matki, lecz pani X., jak zwykle wieczorami, została na dole i czytała książkę, siedząc przy kominku wielkiego pokoju, zajmującego większą część parteru domu i służącego zarazem za jadalnię i salon. Z pokoju tego wewnętrzne schody prowadziły na pierwsze piętro.

„Znienacka, — pisze p. X., — ujrzałam w górze schodów moją biedną małą, wołającą mnie straszliwym głosem, wyciągając do mnie ramiona. Rzuciłam się ku niej. Gdy

znalazłam się na górze, zaczęła krzyczeć: — Mamo! Mamo! Już nie mogę więcej... Jestem pewna, że jest tutaj!

W pierwszej chwili pomyślałam, że mówię o swoim ojcu. Marzyła o nim nad książką, a dzieci często mają halucynacje i boją się widm“.

Nie widma jednak bała się Simona. Nie zrozumiała nawet matki, gdy o to pytała.

Ten, który tu był, ukryty w mroku pokoju, schowany pod łóżkiem, to... to był „On“, złodziej, zabójca, nieznajomy, którego wyobrażała sobie co noc od dwóch miesięcy, z powodu którego zasnąć nie mogła i trzęsła się ze strachu pod kołdrą.

Jak dotąd cała ta historia przedstawia się zupełnie pospolicie. Pani X. zapaliła światło i zmusiła córkę do zajrzenia pod łóżko. Simona zrobiła to, lecz podnosząc się, rzekła:

— Wiem dobrze, mamusiu, że nikogo nie ma. A jednak „On“ jest tutaj każdej nocy...

Pani X. zwierza mi się: „Strach, do którego się przyznała, ten lęk chorobliwy, który czuła nie był mi obcy. Przechodziłam to także w swoim dzieciństwie. Wydaje się cudem, gdy widzi się wskrzeszenie własnej duszy w dziecku rodzonym. Utiłłam Simone, zaprowadziłam ją do łóżka, uspokajałam ją.

— „Posłuchaj, maleńka — mówiłam jej — kiedyś bałam się, jak ty... A czy wiesz jak się z tego wyleczyłam?“

Powinienem powtórzyć tutaj cały ten wzruszający list. Trwałoby to jednak za długo...

Siedząc przy łóżku córeczki, p. X. opowiedziała jej o sobie, gdy była małą dziewczynką.

— „Opowiadałam sobie, zasypiając, piękne historie, których bohaterką byłam. Czy nie robisz tego także?“

— O, tak, — rzekła Simona, — co wieczór opowiadałam sobie jeden rozdział długiej powieści, którą sama wymyślałam...

P. X. zadrżała. Było to znowu objawienie jej własnej duszy...

„Historyjki, która dzieć się będzie gdy dorosniesz?“

— Tak, mammo. Gdy będę mężatką.

— A więc widzisz, Simono, skoro ta historia dzieje się, gdy jesteś mężatką, jesteś pewna, że będziesz tą, którą sobie wymarzyła... Chciej zrozumieć mnie dobrze, moje dziecko! W twoim wieku, gdy obawiałam się złodzieja, zbrodniarza lub kogoś obcego w pokoju, którego sobie wyobrażałam, przeciwko złym mocom takie wysuwałam iozumowanie: skoro jestem pewna, że w przyszłości będę tą bohaterką mojej historii, nikt mnie nie udusi, nie zabije... Czy rozumiesz mnie, Simono? Wyleczyłam się z urojenia przez wiarę w swoje przeznaczenie. Jest to zabawne, może, ale wierzyłam, że staną się ze mną różne cudowne rzeczy...

I pani X. zapominając na chwilę o córce, opisała sny swego dzieciństwa. Były na-

prawdę urocze. Mała Simona słuchając, wytrzeszczała oczy.

— Widzisz, — zakończyła pani X., — wiedząc zatem, że zostanę tą, o której marzyłam, przestałam się bać złodzieja.

— A teraz, mammo — pytała Simona, — teraz, gdy wiesz, że nie zostałam tą wymarzoną bohaterką, kto ciebie broni?“

Pani X. pisze:

„Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Ta logika przybiła mnie i pokonała. Wobec tego, że nie zostaje się nigdy tą istotą, której wizja pociąga ku przyszłości, któż obronić może przeciwko ręce, która zaciska się dookoła serca i dławi je lękiem?“

Ośmielona mojem milczeniem, moja mała córka, jasna duszyczka mej przeszłości, rzekła mi:

— Nie zostanę tą, którą sobie wymarzyłam, jak i ty nie zostałam wymarzoną swą bohaterką.

Przysięgam panu, że to właśnie mi powiedziała, temi samymi niemal słowami. A potem skurczyła wstę swe ramiona, mówiąc:

— Lękam się. O, jakże strasznie się lękam!

I mnie także ogarnął lęk. Zapewniam pana, że bałam się, jak za czasów dzieciństwa, mroku i samotności.

Mała rzekła do mnie:

— Drżysz, mammo, co ci jest?

Czułam pustkę przed sobą i dookoła siebie. A dziecko zawołało z przerażeniem:

— Jest tu ktoś!... Wiedziała o tem!

Odpowiedziałam jej:

— Nie. Ale zimno mi. Ogrzej mnie!

I wówczas, z litości nad swoją matką, zapomniała o sobie. Zarzuciła mi ręce na szyję, zmusiła mnie do położenia się obok siebie, do złożenia głowy na jej poduszce.

Potem zaś zgasiła światło. Ona, co trwo żyła się tak bardzo, zgasiła światło i szepnęła mi:

— Mammo, czy chcesz, bym zmówiła pacierz?

O! jakiego ja doznałam wstrząśnienia! — Było to kłamstwem wobec siebie przyzywać kogoś w tym wiecznym mroku, z którego mąż mój usunął nawet widmo własne.

Czy postąpiłam słusznie, proszę pana? Nie widząc już żadnej godziwej przyszłości przed sobą, zgodziłam się, by dziecko moje zwróciło mi, w prostocie swego ducha, przyszłość, w którą nie wierzył mój mąż.

Rzekła mi: „Gdy wspólnie z tobą modłę się do Boga, czuję, jak „on“ odchodzi“.

I odszedł.“

Oto wszystko. Gdy człowiek traci zaufanie do losu... wiarę w siebie...

Tłum. L. M.

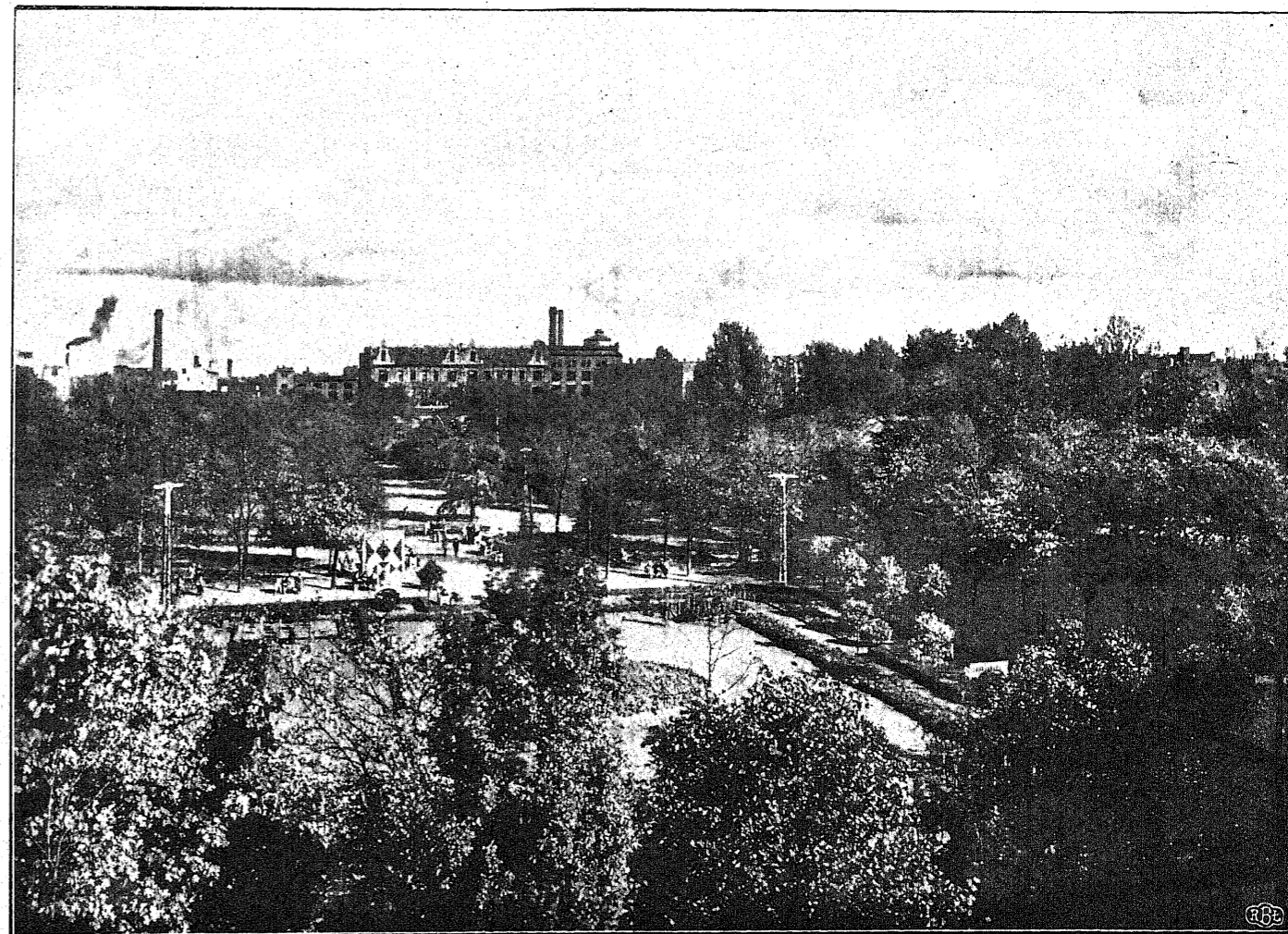


DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 26 października 1930 r.

Nr. 44.

Łódź w blaskach jesieni.

Spowita w mgławicę rozpylonych dymów, snujących się nieprzerwanymi smugami, Łódź odbija złociste blaski jesiennego słońca w zakratowanych oknach wielkich zakładów przemysłu. Za jej szaremi murami nic się nie zmieniło. Chłód i półmrok zalega nadal wiecznie nieomal dziedzińce miasta. W pełni natomiast krasy jesiennego tona ogrody miejskie. Na wierchołkach drzew, pozbawionych szmaragdowych okłasi listowia, jak na kołowrotku przedzie jesień „babie lato“. Pożółkły liść, opadając, zawodzi smętną melodję jesieni, a ostatnie promienie odchodzącego słońca pieszczą i kołyszą tulącą się do smu przyrodę. Pierzaste obłoki, przetrkane złocistym haftem promieni słonecznych, snują się opieszale po błękitnej kaniwie firmamentu. Na zdjęciu widzimy jesienny obrazek Łodzi w jednym z jej parków